

2. Świeże bułki

Harcerstwo przyszło do mnie jeszcze w Susku, około roku 1933, chociaż w specyficzny sposób. Mianowicie, mój starszy o kilka lat kolega, Karol Jakubowski, uczęszczając do ostatnich klas szkoły powszechnej w nieodległym Sierpcu, zapisał się do ZHP. Imponował wówczas jedynym we wsi harcerskim mundurem i zabawiał młodszych chłopaków opowieściami o skautingu.

Najważniejsze było jednak to, że w zagrodzie rodziców ustawiał „prawdziwy” namiot, do którego można było wejść i w nim się położyć na pachnącym sianem sienniku, lub usiąść na stołku służącym normalnie do dojenia krów. Aby zbudować taki namiot, Karol, na prowizorycznym stelażu, sporządzonym ze znalezionych w obejściu żerdzi, rozpościerał derki końskie - były to właściwie zszyte z sobą kolorowe chodniki, tradycyjnie tkane ze szmacianych odpadów.

Oczywiście - namiot to nie wszystko! Jedyne suski skaut pokazywał, obok owego namiotu, całą czarowność harcerskiego ogniska oraz proste elementy pionierki. Przytaczał też specyficzne nazewnictwo: „Czuwaj”, „Stanica”, „Hufiec”, „Chorągiew”, a także uczył nas - zawsze przy ognisku - najbardziej popularnych piosenek.

Ba, pokazywał też niekiedy tajemniczy dzienniczek, w którym na pierwszej stronie wykaligrafowane było bardzo starannie „Przyrzeczenie” i „Prawo Harcerskie”. W sumie, te spotkania z



Pierwszy skaut w Susku,
Karol Jakubowski. 1934.

Karolem były dla mnie pierwszym i wprost znakomitym przed-szkolem skautowym oraz powodem do pożądanego czegoś, co już wtedy idealnie korespondowało z moją naturą.

Nic dziwnego, że kiedy w wakacje roku 1936 zamieszkaliśmy w Sierpcu, moja Mama musiała na gwałt szyć mundurki nie tylko dla mnie, ale także dla dwóch moich młodszych braci: Jurka i Zbyszka. Musiało to być ważne wydarzenie, skoro wszyscy trzej w nowiutkich mundurach - wraz z Mamą, ozdobioną modnym wówczas lisem - zostaliśmy natychmiast uwiecznieni w fotograficznym atelier pana Rutkowskiego.



Elżbieta Chojnacka z synami, występującymi w uszytych przez nią mundurkach. Od lewej: Zbyszek, Jurek i Janek. Rok 1936.

Natychmiast po rozpoczęciu roku szkolnego w gimnazjum - z radością i pełen emocji wywołanych posiadaniem mundurkiem oraz przygodami para-harcerskimi z Suska - zapisałem się do istniejącej tam 98 Mazowieckiej Drużyny Harcerzy im. Jakuba Jasińskiego. Wkrótce dowiedziałem się na zbiórce, że drużyna ma piękną tradycję, bo jest omal tak stara jak gimnazjum, a jej

członkowie prawie w komplecie ochotniczo i dzielnie walczyli z bolszewikami w 1920 roku.

Międzywojenne harcerstwo było ubogie i przez nikogo nie dotowane. Harcówka drużyny mieściła się kątem w piwnicy, w czynnej pracowni robót ręcznych, prowadzonej przez artystę malarza, Stefana Tamowskiego. Tak więc, w sali warsztatowej znajdowały się dwa namioty wraz z drewnianym stelażem, kotły kuchenne, narzędzia obozowe do pionierki oraz bardzo dla nas ważne przedmioty: werbel i trąbka sygnałowa. W osobnej szafce natomiast, znajdowało się kilka bardzo podniszczonych, zaczętych podręczników harcerskich oraz niewielka dokumentacja drużyny. Wszystko to sąsiadowało z typowymi warsztatami stolarskimi, imadłami, szafkami narzędziowymi pana profesora.

Chociaż był to jeszcze świat bez telewizji, dyskotek, samochodów oraz rodzinnego biwakowania, to w latach 1936-1939 drużyna liczyła tylko około 30 druhów. Skupiała



Artysta-malarz Stefan Tamowski (pierwszy od lewej). Obok niego autor oraz przyszły architekt, Jerzy Luba. Mieszczk 1941.

zatem jedynie tych spośród kilkuset gimnazjalistów, którzy chcieli się ochotniczo i odpowiedzialnie poddać ostrym rygorom etycznym i sprawnościowym. W tym sensie była to organizacja niewątpliwie elitarna, natomiast nie miała to żadnego związku ze statusem materialnym i społecznym rodziców. Najlepszy dowód, że spora część druhów miała kłopoty finansowe z zakupieniem mundurów i dlatego np. na defiladę trudno było zebrać choćby połowę stanu osobowego. Z tego też powodu maszerowaliśmy zawsze z fasonem, nagradzanym oklaskami, ale przeważnie - w niestosowanej w kraju - kolumnie trójkowej i to w szyku rozstrzelonym, aby zawsze tworzyć wrażenie, że jest nas

więcej. Z czasem, ten rozstrzelony szyk trójkowy uważany był w Sierpcu nawet za jakiś tradycyjnie i „na wieki wieków” przypisany naszej drużynie.



Autor - na fotografii z pierwszej Książeczki Harcerskiej ZHP. Sierpc 1936.

Mieliśmy sztandar a był on rzeczywiście niezwykle szanowany i honorowany. Poczet zawsze nosił białe rękawiczki i paski pod brodą, a kolumna po defiladzie nigdy nie rozwiązywała się przed powrotem na gimnazjalne boisko i przed honorowym odprowadzeniem sztandaru, ściśle wg obowiązującego ceremoniału. Bieżąca działalność polegała na szkoleniu teoretycznym, dotyczącym takich tematów jak: historia drużyny, jej patrona, skautingu oraz ZHP; prawo i przyrzeczenie; władze państwowe i harcerskie; regulaminy stopni, sprawności, umundurowania i musztry; symbolika i nazewnictwo harcerskie. Natomiast szkolenie praktyczne dotyczyło pionierki, węzłów, sygnaliza-

cji, topografii, samarytanki, musztry, zdobywania sprawności, biegów harcerskich, konserwacji sprzętu obozowego, wycieczek i starannego przygotowania do letniego obozowania.

Przy tym niebłahym elementem wychowania w dziedzinie kultury były ogniska, nasycone piosenkami, gawędą drużynowego, aktualną satyrą pseudo-modlitewną, dowcipnymi scenkami o takich nazwach, jak: „Golarz”, „Lustro”, „Na ganku stoi Zosia”, „Pochód Beduinów”. Choć scenki te były nader prymitywne i powtarzane podczas kolejnych ognisk, to ich atrakcję stanowili wciąż zmieniający się aktorzy, którzy z reguły popełniali jakieś śmieszne gafy.

Wiele śmiechu wywoływały kawały czynione nowicjuszom, którym kazano np. z zawiązanymi oczami stąpać wśród butów, linek, patyków itp. (w międzyczasie usuwanych z pola zabawy). Oprócz obrzędowości i niewątpliwych akcentów wychowawczych, ogniska i ich programowanie stało się naturalną szkołą odwagi estradowej, aktorstwa i ogólnie wyłaniania z czasem animatorów kultury - osobiście bardzo wiele tej młodzieńczej szkole autorsko-aktorskiej zawdzięczam.

* * *

Z harcerzy gimnazjalnych, zbliżonych do mnie wiekiem, doskonale zapamiętałem Kubę Chojnackiego (późniejszego wieloletniego, zasłużonego Prezesa Towarzystwa Naukowego Płockiego), Jurka Kazimierczaka (późniejszego profesora hematologii w Belgii oraz Szwajcarii) oraz Jurka Bończaka (późniejszego profesora medycyny, generała, Komendanta Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi oraz wiceministra zdrowia).

* * *

Formalnym opiekunem drużyny z ramienia szkoły był za moich czasów Henryk Tytus Gomulicki, który - ze względu na rzadko spotykane drugie imię - w języku gimnazjalistów zwany był powszechnie po prostu „Tytusem”. Początkowo sądziłem nawet, że Tytus, to tylko przezwisko naszego zacnego nauczyciela, spokrewnionego zresztą bardzo blisko ze znanym pisarzem, Wiktorem Gomulickim.

Drużyna była zawsze wielopokoleniowa, czyli jej członkami byli zarówno zupełni nowicjusze, jak i stare wygi, które miały za sobą liczne obozy i na rękawach brakowało im miejsca na zdobyte sprawności. Wielopokoleniowość posiadała kolosalne znaczenie wychowawcze, a dla mnie (i najpewniej dla młodszych roczników) również ambicjonalne.

Na tej niwie stykaliśmy się po bratersku, w atmosferze gier i zabaw, nawet z podziwianymi przez nas maturzystami. Wielopokoleniowość pozwalała także na historyczną trwałość takiej drużyny i na bezbolesne wyłanianie kolejnych zastępowych, przybocznych i drużynowych, poprzez praktykowanie u „mistrza” - poprzednika na danym stanowisku.

Kiedy wstępowałem do drużyny, moim drużynowym był Harcerz Rzeczypospolitej Władek Kowalski, a jego przybocznym Harcerz Orli Kazik Przeradzki. Obaj z klasy maturalnej. Pierwszy wyróżniał się niezwykłą wręcz statecznością, natomiast drugi błyszczał sytuacyjnym dowcipem, łatwością przyswajania obcych języków i niezwykłą fantazją. Fantazja Kazika uwiadczała się szczególnie podczas zbiórek i defilad, bo paradował wciąż w białej, okrągłej i stebnowanej czapce marynarskiej, tzw. „amerykance”.

Czapka ta, ozdobiona była kotwicą z lilijką, czyli herbem właściwym dla harcerskich wyg morskich. Absolutnie nietypowe dla naszej lądowej drużyny nakrycie głowy, było - jak się chwalił - pamiątką po rejsie na „Zawiszy Czarnym”, na światowe jamboree w Wielkiej Brytanii. Jego „albinoskie” nakrycie głowy, pośród kontrastowo odmiennych kształtem i barwą, zielonych



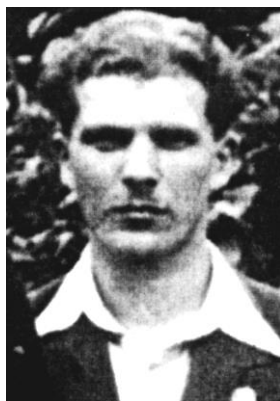
Dr inż. Jakub Chojnacki, Prezes Towarzystwa Naukowego Płockiego.

rogatywek, okropnie nas denerwowało. Z drugiej zaś strony za-
zdroszciliśmy mu.

I nie jest ważne, że - jak mi niedawno powiedział jego brat - żeglowanie i jamboree stanowiły najprawdopodobniej jedynie fantazję naszego przybocznego. Dla nas była to wówczas absolutna pewność i taką już na zawsze pozostanie w pamięci otaczających go harcerzy.

Osobiście, pod względem fantazji i stroju, nie byłem Kazikowi nadmiernie dłużny. Tak się złożyło, że powróciwszy - bodajże w roku 1937 - z obozu w górach, gdzie napatrzyłem się na góralskie kapelusze z muszelkami i piórami, zdarzyło mi się - jako zaledwie zastępowemu - prowadzić całą kolumnę sierpeckich harcerzy (nie tylko gimnazjalnych) podczas defilady w ulicy Piastowskiej - tu kłaniają się moje umiejętności głośnego wydawania komend i przykładna znajomość musztry! Harcerską rogatywkę przyozdobiłem wówczas dookólnie, przywiezionymi z Nowego Targu góralskimi muszelkami na czerwonym, kontrastującym paseczku. Przypiąłem także do tej czapki jakieś wielkie pióro ze skrzydła indyka, a nie zabrakło przy nim i znacznego puka białego puchu.

Ponadto, swój zwykły szary i dość sfatygowany płaszcz, uzupełniony przy kołnierzu brązowym sznurem zastępowego, przewiesiłem z ramienia i opuściłem prawie dokładnie tak, jak to robią ze swymi pelerynami wojskowi Podhalańczycy. To nic, że moja „peleryna” posiadała zwisające rękawy, skoro był to po



Wyżej: Mój pierwszy drużynowy, Wł. Kowalski. Niżej: Przyboczny, K. Przeradzki. 1938.

prostu harcerski fason! Oczywiście, otrzymałem od jakże licznej publiczności gorące brawa. Potem zaś gratulacje, z powodu fantazji syna, docierały nawet do Rodziców.

* * *

Jak już wspomniałem nie przelewało nam się w drużynie. Zdobycie pieniędzy na obóz było wielką sztuką a zarazem wielkim uszczerbkiem dla rodziców. Po zapłaceniu kosztów uczestnictwa, kieszonkowe wystarczało przeważnie za ledwie na butelkę oranżady oraz na obowiązkową kartkę pocztową do domu. Moja osobista sytuacja, jako syna kierownika szkoły i posła, przedstawiała się na tym tle znacznie lepiej. Wysypując na taką okazję wszystkie pieniądze ze skarbonki, mogłem teraz - w gronie rówieśników - uchodzić wręcz za krezusa. Natomiast wszyscy byliśmy niezmiernie bogaci - jak zawsze - w poczucie humoru, przy czym najważniejszy bywał dowcip sytuacyjny oraz środowiskowa satyra.

W lipcu 1938 roku udawałem się ze swoim zastępem, w składzie 98 Mazowieckiej Drużyny Harcerzy oraz Hufca Sierpc, na duży i doskonały (puszczański) obóz w Mogiłach nad Rawką. Miejscowość ta znajdowała się w pięknym, choć nizinnym rejonie Puszczy Bolimowskiej, na południowym skraju Mazowsza. Z Sierpca pojechaliśmy tam pociągiem osobowym, przez Płock i Kutno, w kierunku Łowicza. Podróżowaliśmy typowymi dla tego czasu wagonami, w których każdy przedział posiadał odrębne drzwi zewnętrzne. Po kłopotliwych przesiadkach, bo obładowani byliśmy nie tylko plecakami, ale także ogólnym sprzętem obozowym, dotoczyliśmy się wreszcie około południa do docelowej stacji kolejowej.

Pozbawiony zadaszenia peron, oświetlony mocnymi promieniami słońca oraz widoczny niedaleko ogromny las, nastrajały całe towarzystwo niezwykle optymistycznie. Na tej stacji nie było oczekujących ludzi poza jedną staruszką. Ta - z pełnym koszem - przechodziła wolno wzdłuż pociągu wołając głośno i wielokrotnie: „Bułki świeże, bułki! Bułki z kiełbasą!” Charakterystyczne, że nie wołała ani razu zdrobniale np. „bułeczki”, ani też „kajzerki”, tylko właśnie „bułki”. Bo istotnie były to duże, mazowieckie buły, z gustownym przedziałkiem na górze.

Tak się zdarzyło, że w pobliże naszego przedziału podeszła dokładnie w momencie, kiedy zastęp, w pełnym rynsztunku, wysypywał się na peron. Widząc to, staruszka podeszła jeszcze bliżej i głośno powtórzyła kolejny raz: „Bułki świeże, bułki!...”.

Na to Zdzisio, jeden z moich rezolutnych podopiecznych - prawie tak samo głośno a przy tym uprzejmie - zareagował: **„Dziękujemy, nie będziemy pani objadać!...”** Towarzyszył temu oczywiście rechot chłopców nie tylko z mego zastępu, ponieważ „podziękowanie” Zdzisia było słyszane jak peron długi i szeroki.

To, co dla naszej młodzieńczej gromady stanowiło niezły dowcip, wcale nie było powodem do śmiechu sprzedawczynie kanapek. Jej twarz wyraźnie wyrażała zdenerwowanie a nawet złość. Widząc co się stało, odżałowałem: Wysuplałem szybko z portmonetki swoje oszczędności i po chwili każdy z moich sześciu chłopaków pałaszował bułkę z kielbasą. Oblicze kobiety dopiero w tym momencie rozchmurzyło się i zajaśniało uśmiechem. Dziękując wdała się nawet z nami w przyjacielską pogawędkę. Tak więc, nieodpowiedzialny wyskok Zdzisia przyniósł pożytek



Od lewej: Autor, Zdzisio Jabłoński, jego brat Mirek, Henio Tuziński oraz Genek Girszewski. Zdjęcie późniejsze - Płock 1945.

obu stronom - w tym i dowcipnisiowi osobiście. Mnie też coś z tego skapnęło, bo będąc niedoświadczonym przełożonym bodaj pierwszy raz w życiu stanąłem na wysokości zadania i szczęśliwie zażegnałem kłopotliwą sytuację.

Przygoda na peronie zakończyła się otoczeniem staruszki nie tylko przez zastęp, ale przez cały hufiec. W owczym pędzie druhowie zakupywali dalsze bułki tak, że wkrótce koszyk babci opróżnili do reszty. Wówczas - jak to zawsze bywa u harcerzy - popłynął żywiolowy śpiew. Mała stacyjka w rejonie Bolimowa rozbrzmiewała tradycyjną i popularną piosenką:

„Dalej, wesolo niech

popłynie gromki śpiew!

Niech stutysięcznym echem

zabrzmi pośród drzew,

niech spędzi z czoła

wszelki smutek, wszelki cień,

wszak słoneczny mamy dzień!...”

